NUMER 16. DNIA 16. KWIETNIA 1905 ROKU. ROK XIII.

TYDZIEŃ

DODATEK

LITERACKO-NAUKOWY „KURJERA LWOWSKIEGO“

POD REDAKCJĄ BOLESŁAWA WYSŁOUCHA.

PRÓŻNUJĄCE PANIE.

Mimo licznie rozsianych stowarzyszeń kobiecych, w których istotnie praca nie jest tylko pozowaniem, mimo wielu zajęć po biurach i handlach, które dają pracę kobietom, jeszcze jest ogromnie wiele kobiet u nas, które próżnują i niczem społeczeństwu nie przynoszą pożytku.

Takie panie, po za światem mody i strojenia się, nie widzą innych celów życia, nie uznają potrzeby szukania jakichś pól pod pracę piękną i korzystną.

Są to osoby, wychowane w zupełnem uśpieniu ducha. Są to lalki bawiące oko zewnętrzną formą piękna, ale w głębi życia nie mają nic innego jak tylko jedno wielkie zero, w którem wygodnie kolebie się „samolubstwo“.

Takie panie, nie należą do Towarzystwa „Szkoły ludowej“, bo powiadają, że to wszystko jedno, czy one będą tam czy nie — nie chcą wpisać się w koło opiekujące się ubogą dziatwą, bo i „bez nich tam dość będzie“ — nie chcą zająć się urządzeniem jakiejś czytelni lub wenty na cel dobroczynny, bo o tem gazety mało napiszą i przy tem nie zawiązują się znajomości flirtowe.

Ale w zamian za to, znają one doskonale, w którym magazynie są najnowsze bluzki, gdzie najlepszy puder i perfumy, która modniarka najładniejsze kapelusze wyrabia.

Przeglądając codzień wytrwale wystawy jubilerskie, konfekcyjne, balowe i inne, mają w domu stosy pudełek próbek sprowadzanych z Wiednia, Berlina i Paryża, ale gdyby je kto spytał ile szkół na kresach potrzeba, lub w wielu miastach czytelnie w tym roku założono nie rzekłyby ani słowa.

Lecz gdyby też owe próżnujące panie tylko tem grzeszyły, iż nie zajmują się sprawami społecznemi! Ale one niczem w ogóle się nie zajmują, żadnego celu nie znają, żadnej pracy nie przedsięwezmą, bo są źle, nieszczęśliwie wychowane i „spiduszki“ są wieczne.

Nudzą się same, nudzą drugich. Same nic nie robią, drugim robić przeszkadzają. A nie przyjdzie im ani razu to na myśl, ażeby obliczyć, czem by ich praca stać się mogła.

Gdyby taka dama próżnująca, postanowiła rzecz małą — dać jedną godzinę w tygodniu dla jakiejś pracy narodowo-społecznej i wytrwała w tem przedsięwzięciu, obliczmy, ile by ona przez 10 lat... godzin na to zdobyła?

Pięćset 20 godzin, toż to ogrom czasu — w skupieniu i w jednolitej pracy, może przynieść plony obfite... w marnowaniu życia na próżniactwie tonie bez śladu i korzyści.

Tych 520 godzin oddanych jakiejś pracy pożytecznej, zmieniłoby się w 5.200 godzin, gdyby dziesięć pań związało się w kółko i postanowiło pracować.

Taka wielka, wspaniała ilość czasu urasta z ofiarowanej *1-dnej* godziny tygodniowo...

Ileż zaś godzin dają próżnujące panie nudom, przeglądaniu mód, ziewaniu, ploteczkom i flirtowi? Weźmy minimalną liczbę — 3 godziny dziennie, to wynosi rocznie 1725 godzin, a przez lat 10 tworzy ogromną cyfrę 17.250 godzin... Gdyby, materjalnie licząc, każda godzina czasu była warta 10 halerzy — spostrzeglibyśmy z przerażeniem, że w cyfrze 17.250 godzin marnowanych, wielką sumę tracimy. Lecz rozważmy, iż są zajęcia, prace, czynności, których wartość moralna i dobroczynna dziesięćkroć więcej ma znaczenia nad wartość 1725 koron, więc czy nie ponosi naród ogromnej szkody wtedy, kiedy jednostki jego od pracy się uchylają?

Osoby, postawione w tak szczęśliwych warunkach, iż nie potrzebują zarabiać na siebie — powinne przyjąć na siebie piękną i szlachetną powinność pracowania dla drugich, a wywyższą się same nad szeregi samolubnych istot i ubogacą się skarbem najcenniejszym, bo zadowoleniem wewnętrznem, iż w każdym dniu spełniły coś, co jak wołał Brodziński „ku powszechnemu dobru wspomogło“.

Jedna godzina dziennie, toż to odrobina mała i ani umęczy, ani utrudzi, ani nie stanie przeszkodą do korzystania z wielu przyjemności, wizyt, strojów i zabaw.

Jedna godzina dziennie; a przecież wiele może dać pomocy w tylu nagłych i pilnych sprawach, o które naród woła i na które czeka.

My pozostaliśmy o parę wieków w tyle za innemi narodami Europy, które dźwignęły się dawno w oświacie i przemyśle. U nas, potrzeba dziesięćkroć więcej ramion do prac i serc do poparcia czynów odradzających naród, a osoby nie mające czem czas zabić, nie chcą i nie umieją zabrać się do pracy.

Panny na wydaniu, młode mężatki nie mające obowiązków macierzyńskich, osoby starsze, które mają byt zapewniony, a są same i nudzą się — czyż nie mogłyby z wielką korzyścią pracować w czytelniach, szkółkach prowizorycznych, w stowarzyszeniach ludowych lub rzemieślniczych?

Czemuż przecie ich nie ma tam?...

Śpią dusze ich — serca są samolubstwem ukołysane, życie mija na nudnem i monotonnem marnowaniu czasu, a lud w ciemnocie tonie, nędza ssie — niezgoda pali i jątrzy.

Pomocy i pracy potrzeba wszystkich!

Więc próżnujące panie poczujcie się obywatelkami i przyjmijcie na siebie obowiązki społeczne.

Poznacie — ile wam szczęścia w duszach rozbłyśnie, gdy jedną godzinę dziennie oddacie — Ojczyźnie!

Jan Świerk.

MARJAN GUMOWSKI. 2)

PORTRETY KOŚCIUSZKI.

(Ciąg dalszy.)

Podobieństwo jest w tym wypadku dla nas rzeczą najważniejszą, jednak jakże trudno przychodzi nam je stwierdzić! Mam tu na myśli ów obraz olejny z Muzeum Narodowego w Krakowie, który długi czas uchodził tak w katalogach, jak i w opinji za portret Kościuszki pędzla *Lampiego*. Dopiero bliższe badania i porównanie go z innymi portretami i dziełami Lampiego wykazało nie tylko, że to zupełnie nie jest Kościuszko, ale że to nie jest też ręka Lampiego, ani nawet Wojniakowskiego, jak chcieli niektórzy. Obraz zdradza wprawdzie szkołę Lampiego i przedstawia jakiegoś ówczesnego jenerała, nie można jednak w żadnym razie uważać go za Kościuszkę. Z drugiej strony nie zawsze powinniśmy się kierować ścisłem podobieństwem rysów, zwłaszcza w obrazach artystów pierwszorzędnych, n. p. Grassiego, portrety Kościuszki przez niego malowane należą do bardzo stosunkowo wczesnych, i nimi przedewszystkiem musimy się zająć.

Józef Grassi, artysta wiedeński przybył w 1790 roku do Warszawy, był więc jednym z ostatnich cudzoziemskich artystów, powołanych przez Stanisława Augusta. Był to artysta pierwszorzędny. Obok zawsze poprawnego rysunku, elegancji i wdzięku odznaczał się większą głębokością poglądów od Bacciarellego, a nawet Lampiego, a co dla nas ważniejsze, odczuwał wielką cześć i szacunek dla Kościuszki, znał go osobiście i kilka razy go portretował. Rastawiecki w słowniku malarzy polskich mówi o 4-ech portretach Kościuszki przez Grassiego malowanych. Zdaje się jednak, że ich jest więcej. Najwcześniejszym z tych obrazów jest portret w Gołuchowie z 1792 r. przedstawiający jenerała w zbroji, nieco na lewo zwróconego, pod drzewem, obcierającego chusteczką szablę. Przy nim hełm laurem uwieńczony. Podobieństwa bardzo mało, zato jak ciekawa charakterystyka epoki! Co za kontrast między tą stalową zbroją, którą zapewne nigdy Kościuszko na sobie nie miał, a tem obliczem wydelikaconem, wyidealizowanem, z ufryzowanemi włosami i temi rękami nic męskiego nie mającemi. Jest to nic więcej jak hołdowanie modzie, która podobnie, jak Grassiemu Kościuszkę, kazała Bacciarellemu ustroić króla w zbroję, którą ten nie był

zapewne nawet w stanie na siebie włożyć. Mimo że o zbrojach prawie zapomniano, mimo że życie i obyczaje ówczesne były najwięcej wydelikacone, rozkoszne, wyrafinowane, mimo to moda portretowania się w zbroji była prawie ogólnie panującą. Sam Grassi powtórzył ten portret, ale tylko w popiersiu, i to popiersie jako nadzwyczaj charakterystyczne dla Grassiego dajemy w reprodukcji. (Fig. 3.)*)

Fig. 3.



Zbiory hr. Dzieduszyckich we Lwowie
Oryginał olejny pędzla Józefa Grassiego z 1792 r.

Artysta starał się tu widocznie nie tak o podobieństwo, jak raczej o wyidealizowanie jenerała, o piękność jego rysów, regularność linji i z tego powodu zamiast mężczyzny 46 letniego, jakim mógł być wtedy Kościuszko, widzimy młodzieńca i zamiast jenerała, wychowanego w pojęciach rewolucji francuskiej, widzimy na portrecie twarz eleganta salonowego.

Wszystko co wychodziło z pracowni Grassiego było dla ówczesnego świata artystycznego w Warszawie wyrocznią mody i zaraz znajdowało swoich kopistów, naśladowców i interpretatorów. Jednym z nich był znakomity miniaturzysta królewski *de Lesseur Lesserowicz,* którego cudną miniaturę Kościuszki posiada zbiór hr. Tarnowskich w Dzikowie. Jest to dokładna kopja z portretu Grassiego, w pełnej zbroji, należąca bezsprzecznie do najlepszych miniatur ówczesnych. Inną kopję z tego samego oryginału i także bardzo dobrą, dajemy w reprodukcji pod Fig. 4.

Fig. 4.



Muzeum Narodowe w Krakowie
Fotografja z miniatury podług obrazu Grassiego około 1792 r.

W zbroji renesansowej maluje Kościuszkę jego rówieśnik *Fr. Smuglewicz* siedzący w Warszawie od 1787 r. w obrazie allegorycznym, na którym Kościuszko z kosynierami stoi przed Polską w kajdany okutą.*)

W zbroji, na tle wałów fortecznych, wśród dymu armat, widzimy Kościuszkę na akwareli zapewne z 1792 roku pochodzącej, niewiadomego artysty, którą kopjowała w Medjolanie 1883 zdolna artystka pani *Józefina z Zeltnerów Negroni.* Według napisu na tej akwareli scena ma przedstawiać Kościuszkę w bitwie pod Dubienką 19 lipca 1792. Naturalnie jest to tylko fantazja, która jednak nie była bez echa. Oto zdolny paryski rytownik *L. Guyot* wykonał malutką rycinkę w czarnej manierze, wcale efektowną, dokładnie z tej akwareli skopiowaną, a popiersie znów samo w zbroji odtworzył rylcem *J. B. Compagne* w Paryżu, według rysunku *F. Bonneville.* Wszyscy trzej wymienieni artyści francuscy, z czasów dyrektorjatu robili to

*) Portret ten miał się znajdować w zbiorze hr. Dzieduszyckich. Tymczasem z bardzo poważnych ust słyszałem, że obecnie go tam nie ma i że nikt nie wie gdzie się znajdować może.

*) Obraz jest własnością p. W. hr. Siemieńskiego-Lewickiego we Lwowie.

zapewne już w 1794 r., kiedy imię Kościuszki stało się jeszcze głośniejszem wskutek wybuchu powstania w Polsce. Jako ilustracja ówczesnych pojęć o Kościuszce we Francji, niech posłuży następujący francuski napis na sztychu Guyota: Ramię jego (t. j. Kościuszki) nigdy nie podniosło się w obronie króla; on bowiem jest zwycięzcą despotyzmu na obu półkulach świata. Przez swe cnoty, swój talent i zaufanie do ludu, stał się naczelnikiem silnej armji narodowej w Polsce, przeciwko zbrodniom ukoronowanych łotrów.

Na tle szańców, wśród dymu armat malował portret Kościuszki i młody artysta *Wojniakowski*, uczeń Bacciarellego, który jako młodzieniec 22 letni patrzył na całe powstanie 1794 roku i kilkanaście portretów Kościuszki, naturalnie nie z natury miał zrobić. Zapewne z jego obrazu jest niemiecki sztych przedstawiający jenerała ubranego w czamarę, stojącego przy armacie na tle krajobrazu, i inny, litografja kolorowa angielska, *A. Girarda* z 1839 roku, z postacią Kościuszki przy armacie nad mapami, ubranego w niebieską czapkę z kitą.

(C. d. n.)

Lód.

Z zamarzłej w śnieżnem polu szafirowej rzeczki
rębacze lód, pocięty w jasne tafle, biorą —
chcąc go zwieść do lodowni przed wiosenną porą,
ciężkie płyty składają na wątłe saneczki.

Widoczny na tle nieba w swem niezgrabnem futrze,
siada rębacz na sanki i w dal biało-siną
jadąc w ślad, który w śniegu poprzednik mu utrze,
wiezie srebrem okute płyty seledynu.

Seledyn się pod słońce w ton błękitu mieni,
a gdy sanki wśród sosen suną się pomału,
przechodzi w ton głębokich szmaragdowych cieni,
aż znów w słońcu zapłonie ogniami kryształu.

Rozświetloną głąb widać w kryształowej płycie:
srebrne kule, paciorki, iskrzące się słoje
i zielonych porostów powikłane zwoje —
w piersi lodu tajone obudza się życie.

Śni się głazom lodowym letni dzień, daleki,
chłód i ciemność lodowni w czas lipcowej spieki,
kiedy będą wspominać drewniane saneczki
jadące do lodowni z szafirowej rzeczki.

JÓZEF NAWROCKI.

ELIZA ORZESZKOWA. 6)

Dziwna historja.

(Ciąg dalszy.)

Kiedy brat mój tylko przez nadzwyczajny zbieg okoliczności strasznej śmierci uniknąwszy, odjeżdżał na kresy innej części świata, ja ziemię u stóp jego włosami swemi zamiotłam, z krwawym płaczem błagając, aby mi krwawą omyłkę moją przebaczył

. . . .
. . . .
. . . .

. . . . . W głębi pokoju, dotykane dalekiem światłem lampy, majaczyło na obrazie śniade ramię, wyciągnięte z toporem nad ciałem bielejącem u kamiennego ołtarza.

— Kain! — szepnęłam.

— Że miał w przyszłości dalszej stać się czem innem jeszcze, wiemy dotąd my dwoje tylko, ja i mój brat, a ty zaraz się dowiesz . . . . . .

. . . .

. . . . . Jak żyłam w pierwszych latach, które po tem nastąpiły, ten tylko zrozumie, kto sam przez czas długi, codziennie usypiał i budził się we łzach.

Bywają czasem momenty z takiem nagromadzeniem nieszczęść, że góry tej starannie odmalowywać nie potrzeba, bo ktokolwiek pierwsze zarysy jej zobaczy, uczuć musi na sobie jej cień.

Z gniazda zielonego, nad polami szerokiemi, nad strumieniami przeczystymi, nad murawami aksamitnemi i aleami drzew odwiecznych zawieszonego, wypadłam na bruk miejski, pomiędzy mury miejskie, w zgiełk, w tłok, w kurzawę, w zaduchę, w częstą obawę głodu ciała, w ciągły głód serca.

Nikt z moich najbliższych w pobliżu mojem nie ostał; najbliższy a teraz po dwakroć, po trzy- najdroższy brat mój, cierpiał w oddali nie- ejrzanej. On — zniknął ze świata — i gdybyż knął był z mojej pamięci! Ale nie. W każdą noc senną i w każdej chwili bezczynnej, jak w ciemną el, rzucałam się w niepojętą, w przeraźliwą za- kę jego duszy i jego przeznaczeń...

Czy pewną jesteś, że po zabiciu Abla, Kain kresy świata odchodząc, o każdym wschodzie ica nie upadał twarzą na ziemię, ze wstydu ed słońcem i zgrzytającymi zębami nie gryzł ni z rozpaczy, że jeszcze widzi słońce? Czy nie ypuszczasz, że nocami chodziło za Kainem wi- o Abla i oddechem swym skręcało mu włosy głowie, w kształt wijącego się w mękach pło- nia?

Jeżeli mniemasz, że wielcy winowajcy są zaw- ostatnimi wśród ludzkości, jesteś w błędzie. z nich, którego serce choć raz w życiu miało o cnocie, to król nędzarzy.

Po niezliczone razy oczyma wyobraźni widzia- i go na jakichś dalekich drogach, upadającego rzą na ziemię ze wstydu i gryzącego ziemię ozpaczy. Po niezliczone razy nawiedzała mię a winowajcy, który w noc ciemną idzie ze zje- ymi jak płomień włosami nad głową, gdy tuż nią idą nieubłaganie blade widma jego ofiar.

Czasem z pogardą odpychałam te widzenia, czu- wstręt ku samej sobie za to, że nawiedzać mię mogą i że — o, ciężkie wyznanie! — krzeszą w sercu litość. A czasem, z sił opadła i do ki niezdolna, dawałam folgę litości i jakimś rzu- i serca bolesnym, w których wołało ono, że chce dzielać z winowajcą brzemię jego hańby i razem im iść jednym szlakiem ciemnym, pod jednym szczem strasznego królowania nad wszechnędzą mi, — iść, i duszę jego z plam obmywać, wier- n pomimo wszystko kochaniem, a może z ob- tej, z oczyszczonej, dobywać znowu te piękne atła, o których wiedziałam, że w niej były.

Wiedziałam, że były, i nic nie mogło zabić mnie tej wiary, a przecież nieraz, po kątach ialni, próżnej snu a pełnej ciemności, chichotała straszliwsza towarzyszka bezsennych nocy czło- ka: ironja.

Może w jakiejś dalekiej stolicy, zamiast wić w męczarniach, pławi się on w rozkoszach, że nie ponury płaszcz króla nędzarzy, lecz wy- intny frak balowy ma na ramionach — może ze tymi połyskami we włosach, w tych ślicznych osach, na których tam w domku leśnym kładłam kojące i błogosławiące dłonie, u warg czerwonych trzyma puhar upojeń i znowu jest podobnym do bożka radości życia, ohydnej teraz radości?

Takich chichotów ironji słuchając, twarzą tonęłam w mokrej od łez poduszce i całą siebie rzucałam w daleką dal, pod stopy brata-bohatera; hymnami serca wielbiąc cnotę czystą, pocałunkami obmywając rany świętego cierpienia.

Ale potem, znowu...

O, wierz! była to męka wielka!

Lecz życie powszednie, a zwłaszcza życie powszednie ludzi ubogich, to szary, monotonny deszczyk, którego krople malutkie a niezliczone padają, padają, padają na myśl i serce, aż skrzydła myśli przybiją do ziemi i serca rubiny pogaszą.

Z majętnej córki wiejskiego dworu stałam się biedną dziewczyną, która w ciasnych izdebkach domku, stojącego nad rynsztokiem miejskiego zaułka, całodzienną pracą zarabiała na codzienny kawałek chleba.

Po miastach, po miasteczkach, wiele nas wówczas było takich gołębic, wypadłych z gniazd puchem wysłanych, na ostre kamienie bruku. Trzeba było na kamieniach wić gniazda z ostów i piołunów. Wiły je, jak umiały, gołębice zrazu drżące od strachu, bólu, gniewu, lecz wkrótce pod ręką Bożą ukorzone, coraz mężniejsze i nakoniec spokojne tym spokojem, który panuje w dni monotonnych, szarych deszczyków.

Słońca niema, na szczytach wieżyc złote iglice pogasły, świat szary, skrzydła duszy opadłe i tylko kędyś na dnie pamięci, czerwienieją żary wspomnień o nadziejach, o tęczach, o lotach pod gwiazdy.

Mieszkania tych przybyszek od pól, łąk, lasów i ogrodów rozkwieconych, w najtańszych dzielnicach miast i w najniższych domkach tych dzielnic, poznać można było po obfitości roślin, kwitnących za małemi oknami, po dobywającej się z za okien muzyce fortepianowej, po wybieganiu z drzwi lub bram domków postaci kobiecych często ładnych i zgrabnych, zawsze ciemno i tanio ubranych, śpieszących do pracy.

Pracowały jak mogły; szyły, uczyły, wiele jeszcze robót różnych... czy ja wiem? byleby żyjąc, módz na świat patrzeć okiem czystem, choć niezmiernie prędko i wcześnie utracającem blaski młodości.

Ja uczyłam. Nieprzeliczone są te dziękczynienia, które w myślach i listach posyłam bratu za to, że sama umiałam tak wiele i dobrze. Mieszkały razem ze mną, w trzech malutkich pokojach, dwie dalekie krewne moje, z któremi w momencie prze-

łomowym mocno wzięłyśmy się za ręce, aby siłami wspólnemi znosić życie. Bo nie było już dla nas mowy, ani myśli o czemkolwiek innem, jak tylko o znoszeniu życia.

Z początku bywało nam często trudno, głodno i chłodno, ale potem ułożyły się jakoś sprawy nasze we względną i stałą pomyślność. Ja i Cesia biegałyśmy z lekcji na lekcję, Rózia siedziała za hafciarskiemi krosnami i doglądała niedużego gospodarstwa. Godziny podobne do kropel monotonnego deszczyku składały dni, z dni powstawały lata, które tworzyły dziesiątki lat...

Jednak na te długie lata nasze, oprócz kropelek szarego deszczyku, sypały się także drobniutkie kwiatki uciech. Tak już stworzony jest człowiek, że z piołunów choćby wydobywać sobie musi krople miodu; myśmy je wydobywały z tkwiących nam we krwi upodobań i z serc, które stwardnieć ani zamarznąć nie mogły.

(C. d. n.)

Moneta lwowska.

Miał Lwów swoją mennicę, w której wybijano monetę dla Rusi, miał swoich mincarzy, którzy na niskim Zamku bili monetę ze stemplem Kazimierza Wielkiego, Ludwika węgierskiego, Władysława Opolczyka i Władysława Jagiełły. Była to pierwsza moneta na Rusi, gdyż za czasów samoistnej państwowości ruskiej, ruscy kniaziowie monety nie bili. Zwaną jest ta moneta ruską, albo też lwowską, która to ostatnia nazwa nie oznacza, jak słusznie wywiódł ks. Jan Stupnicki, jakoby miasto Lwów miało prawo bicia własnej monety, ale raczej używaną była, ze względu na istnienie mennicy we Lwowie, na oznaczenie monety ogólno krajowej. Z czasem, gdy Ruś i wewnętrznie także przyłączoną została do Polski, ustało wybijanie monety specjalnie ruskiej, czy lwowskiej, a w powszechne używanie weszła moneta polska.

Z numizmatyków polskich, zbadali wyczerpująco monetę ruską, dopiero ks. Jan Stupnicki, dr. Franciszek Piekosiński i Kazimiesz Stronczyński, znaczne zaś zbiory tych numizmatów posiada Zakład Ossolińskich, Archiwum miejskie we Lwowie, z prywatnych zaś zbieraczy p. Wysocki we Lwowie. Pierwszym zaś, który odkrył w ogóle monetę ruską był Ignacy hr. Łoś, w pierwszej połowie XIX. wieku, a to przy sposobności zawalenia się wieży ratuszowej we Lwowie w r. 1826. Jak wiadomo runęła w tym roku we Lwowie wieża starego Kampianowskiego ratusza, a w kuli umieszczonej nad dachem u jej szczytu mieściła się znaczna ilość starych pieniędzy, które publiczność lwowska, jako bezwartościowe blaszki rozbierała na pamiątkę. Kilka takich blaszek dostało się w ręce hr. Łosia, a ten odkrył w nich nieznane monety ruskie. Później wykopywano takie monety na Wysokim Zamku, przy wywożeniu błota z Pełtwi i t. d. a zbierał je skrzętnie księgarz lwowski ś. p. Kajetan Jabłoński. W r. 1844 wyorał pewien włościanin w Dobrosinie pow. żółkiewskiego sporą ilość tego rodzaju monet, które się dziś w Ossolineum znajdują. Podobne wykopaliska znalazły się także w r. 1848 w Trembowli, 1850 w Rohatynie, 1860 w Bakowcach pow. brzeżańskiego, 1861 w Komarowie koło Halicza i najciekawsze wykopalisko znalezione w r. 1862 w Bobulińcach pow. czortkowskiego.

Mimo tych wykopalisk monety ruskie należą do wielkich rzadkości numizmatycznych i drogo bywają przez amatorów płacone — sama zaś numizmatyka wyciągnęła z nich następujące wnioski:

Około r. 1350 założył Kazimierz Wielki, mennicę we Lwowie i bił w niej dla Rusi srebne i miedziane monety: srebrne „kwartniki“ a miedziane „denary“. Takie same monety wybijał Ludwik Węgierski i Władysław Opolczyk. Niektóre, zwłaszcza początkowe, monety Kazimierza Wielkiego wybijane były w mennicy krakowskiej.

Po chwilowym spoczynku, mennica lwowska za panowania Władysława Jagiełły, została około roku 1390 otwarta na nowo i wybijano w niej przedewszystkiem srebrne półgroszki i to dwojakiego rodzaju. Jedne z nich, starsze mają napis: „*moneta Russiae*“, drugie późniejsze „*moneta Lemburg (ensis)*“.



PÓŁGROSZ LWOWSKI
1404—1405.

Rycina nasza przedstawia „półgrosz“ czyli „groszyk“ lwowski z r. 1404—1405. Na głównej stronie wybity jest w perłowym obwodzie orzeł,

w środku zaś napis „*Wladislaus Rex*“ na stronie zaś odwrotnej, w takimże obwodzie lew Ruski, w otoku zaś napis „*Moneta Lemburg*“...

Akta archiwalne lwowskie przechowały nam imiona niektórych mincarzy jak „*Bogdan monetarius*“, „*Iwanis monetarius*“ lub wreszcie „*Donat Mönczer*“, który musiał być w ogóle ostatnim mincarzem lwowskim, gdyż około roku 1414 urywa się ślad istnienia lwowskiej mennicy i odtąd też osobnych już pieniędzy dla Rusi nie bito.

Dopiero za Jana Kazimierza istniała we Lwowie ponownie przez czas jakiś mennica, w której wybijano ogólną monetę krajową.

Fr. Jaw.

Szkoła koszykarska w Dżurowie.

(Obrazek z powiatu Śniatyńskiego).

Jedyną próbę rozbudzenia przemysłu drobnego w powiecie śniatyńskim, stanowi szkoła koszykarska w Dżurowie, założona w r. 1892 za inicjatywą właściciela Dżurowa p. Zagórskiego, który też nie szczędził dla niej ofiar. W szkółce tej wyrabiają uczniowie wszystkie przedmioty wchodzące w zakres koszykarstwa, począwszy od najzwyklejszych koszów ręcznych i na drzewo, robią wcale ładne kosze na bieliznę, kuferki podróżne, talerzyki na chleb, koszyki ścienne, pod bukiety i wazony, stoły, taburety, fotele, krzesła, kanapki, wózki, łóżka i kołyski, etażerki na książki, ramy do obrazów i inne drobiazgi.

Zarząd szkoły udzielił nam łaskawie na zapytania nasze następujących informacji:

Materjał do wyrobów stanowi łozina uprawiana w Dżurowie, Rudnikach i Załuczu pod Śniatynem. Nasza krajowa łozina, rosnąca dziko nad brzegami rzek, nadaje się tylko do najprostszych wyrobów, tak zwanych zielonych, t. j. z gałęzi nie odkorowanych, do lepszych zaś wyrobów używane bywają szlachetniejsze gatunki łoziny, uprawiane w wyżej wymienionych miejscowościach. Do gatunków tych należy „Salix amygdalina“ w trzech odmianach, a mianowicie, „superba, viminalis i vitelina“, i drugi gatunek „Salix viminalis var, vitelina“.

Łoziny kaspijskiej, udającej się dobrze na lotnych piaskach, uprawianej od dawna z powodzeniem w Ulanowie i w Baranowie, w naszych stronach nie uprawiają. Uprawa łoziny przynosi plantatorom dość znaczny dochód, gdyż szkoła koszykarska płaci za cetnar metr. odkorowanych gałęzi 16 koron, a jak wiadomo, pod uprawę jej zużytkowywaną bywa najgorsza ziemia.

Szkoła zatrudnia dwunastu uczniów, z których miejscowi pobierają stypendja miesięczne, wynoszące po 6 koron, zamiejscowi zaś po 10 i 12 koron. Uczniowie wyzwoleni przestają pobierać stypendja, a natomiast otrzymują wynagrodzenie za wykonanie każdego przedmiotu. Po ukończeniu nauki dostają uczniowie gratis narzędzia, potrzebne przy robocie koszykarskiej, wartości 40 koron. Nauka cała trwa dwa lata i jeden rok dopełniający. Szkoła ta jest połączona ze szkołą sadowniczą powiatową, a nauka sadownictwa obowiązuje wszystkich uczni szkoły koszykarskiej.

Zakład otrzymuje subwencje od rady powiatowej, od rządu i od Wydziału krajowego. Tak n. p. w r. 1904 subwencje te wynosiły: od rady powiatowej 300 kor. — od rządu 1000 kor. — z funduszów krajowych 1200 kor.

Nie dziw, że przy takiej opiece ze strony władz stan zakładu jest bardzo pomyślny. Wątpimy jednak bardzo, czy szkoła koszykarska w Dżurowie zdołałaby się utrzymać o własnych siłach, bez wszystkich subwencji, a przypuszczenie nasze, że obejść się bez tych subwencji nie mogłaby, opieramy na tym fakcie, że przemysł koszykarski prawie nigdzie nie rozwija się w naszych stronach samodzielnie, bez wpływu tej szkoły. Przyczyny tego szukać należy w małem zapotrzebowaniu przez lud wyrobów koszykarskich. To też szkoła musi wyroby swe zbywać w większych miastach za wysoką cenę. Lud nasz używa wyrobów koszykarskich zaledwie w kilku najprostszych formach, a mianowicie: kosze do wybierania kartofli, z łoziny nie odkorowanej, kobiałki na owoce i jaja, wyrabiane z łyka drzewnego na Huculszczyźnie (po huculsku „koszeli“), również małe koszyki ścienne, z tego samego materjału w formie skrzynki bez wieka, na łyżki lub inne drobiazgi. Pomimo tych stron ujemnych, sam fakt istnienia tej szkoły jest objawem dodatnim i tylko należałoby życzyć, ażeby więcej szkół przemysłowych powstało w powiecie. Przy zakładaniu ich jednak należałoby zawsze zwracać uwagę na wrodzone skłonności i potrzeby ludu. W Trościańcu więc możnaby założyć szkołę przemysłu drzewnego, w której wyrabianoby sprzęty, wchodzące w zakres stolarstwa, tokarstwa i rzeźbiarstwa, a że wyroby tego rodzaju znalazłyby grunt dla siebie właściwy,

dowodzi tego fakt istnienia kilku rzeźbiarzy samouków, wstępujących w ślady Romana Kutasza, również kilku stolarzy, posiadających własnej roboty warstaty stolarskie.

Już w r. 1897 zwracał uwagę ś. p. Franciszek X. Mroczko na wyrób kilimów we wsi Zawalu, „którym należałoby się zająć i sprowadzić go na właściwe tory“, *) jednakże o ile mi wiadomo, nie zrobiono dotychczas nic na tem polu. Gdyby władze zechciały zaopiekować się przemysłem domowym w różnych wsiach tak, jak w Dżurowie koszykarstwem, chociażby nawet przy mniejszej ofiarności, to może udałoby się powstrzymać ludność choć w części od wędrówek corocznych do Multan, Bessarabji i wychodźtwa do Ameryki, które coraz liczniejszych znajduje zwolenników.

Co do wyrobów artystycznych, takich jak rzeźbiarstwo i kilimkarstwo to byliśmy i jesteśmy tego zdania, że szkoły nie powinny wpływać na zmianę stylu ludowego miejscowego i dla tego zdaniem naszem najodpowiedniejszem byłoby zakładanie s takich podług dawnego projektu byłego prezy Bukowiny ks. Hohenlohego, a mianowicie, a nauczycielami w szkołach tych byli miejscowi artyści, a nie sprowadzani z zewnątrz „profe wie“. Wreszcie pożądanem byłoby, ażeby sz przemysłowe zakładano tylko na pewien ogranic przeciąg czasu, gdyż zadanie takiej szkoły n uważać za spełnione wówczas, gdy już wyda uczni o tyle wyszkolonych, że mogą być kr cielami danej gałęzi przemysłu.

Istnieje podobno projekt urządzania wy przemysłowych, corocznie w rozmaitych mias powiatowych Galicji. Przypuśćmy, że chcianoby u dzić wystawę taką w Śniatynie. Na zmysł w kowy działałyby przyjemnie jedynie wyroby szl koszykarskiej dżurowskiej, inne zaś wyroby dzi łyby silniej na zmysł węchu niż wzroku, gdyż łyby to produkty śniatyńskich fabryk mydła, barń i browaru, bo o innym przemyśle w powi nic nie wiemy.

Dr. Mieczysław Grochowsk

*) Fr. Xawery Mroczko „Śniatyńszczyzna, przyczynek do etnografji krajowej“. Lwów 1897. Odbitka z „Przewodnika naukowego i liter.“

PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA

Liliana: „Płomienie“. Warszawa 1905. „Są pieśni, które z dna natchnień wytrysnąć nie mogą — jest miłość, która się w słów kajdan okuć nie pozwoli“ — ale do tych nie należą „Płomienie“ autorki, ukrywającej się pod pseudonimem Liliana. Bo jej pieśni „wytrysły“ — tylko nie wiadomo, czy z samego „dna natchnień“, a jej miłość bardzo łatwo dała się okuć „w słów kajdan“ i rymowane końcówki. Zresztą nie można powiedzieć jakoby „Płomienie“ nie były złożone z wielu wierszyków udatnych, niektórych nawet śpiewnych i rzewnych. Lwią część zajmują naturalnie erotyki. Osobna wzmianka należy się zewnętrznej stronie wydawnictwa. Niewielka rozmiarami książeczka, aż przeładowana jest ozdobami drukarskimi, na jakie się tylko krakowski kunszt drukarski mógł zdobyć, nie mówiąc już nic o karcie tytułowej w całem tego słowa znaczeniu ładnej i artystycznie wykonanej. Można nawet powiedzieć, że ozdób tych, wstawek akcydensowych, inicjałów etc. jest trochę za wiele, na tak niewielkie wydawnictwo, a skutkiem tego jest, że sama treść przedstawia się więcej ubogo, niż j w rzeczywistości.

Stanisław Jasiński: Droga. Poezje II. Lwów. Księgarnia Pows chna 1905. Złożyło się na ten „dru tomik „poezji“ p. Jasińskiego: 1) błędów gramatycznych i stylisty nych, 2) kilka dedykacji — i 3) ki funtów naiwności, mówiąc delikatn Okładka czarna, tytuł na okła srebrny, papier biały, a druk... n stety znowu czarny. I nic więcej...

Fel. Gw

ZAPISKI.

W stan spoczynku. Urzędowo ogłoszono, że twórca „Bibljografji Polskiej“ Karol Estreicher, po 37 letniej służbie na stanowisku dyrektora Bibljoteki jagiellońskiej przechodzi w „stan spoczynku“. Jaki to będzie stan spoczynku, najlepszy dowód w tem, że zarząd Bibljoteki ustąpił do dyspozycji swojego byłego bibljotekarza dwie sale, w których Estreicher kończyć będzie swą Bibljografję z XV—XIX w. doprowadzoną obecnie, jak wiadomo, do litery M.

Karol Estreicher jest jednym z najpracowitszych ludzi w Polsce, gdyż oprócz 20 olbrzymich tomów wiekopomnej Bibljografji jest autorem kilkudziesięciu tomów prac literackich, wśród których trzytomowa historja teatru polskiego zajmuje wybitne miejsce. Jako prawnik i sędzia w Lwowie, zapoznał się Estreich z Szajnochą i Bielowskim, a znaj mość ta skierowała go do prac lit rackich. Był docentem bibljogra w warszawskiej szkole głównej i z stępcą dyrektora tamtejszej bibljotel zanim się przeniósł do Krakow W r. 1889 wybito na cześć jego med pamiątkowy.

Drukiem W. A. Szyjkowskiego, we Lwowie, ul. Kopernika l. 5.